

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

Katowice, niedziela, dnia 4. stycznia 1925

Pomnik wojny.

(Tłumaczył z „Esperanta“ tow. N. T. Karwina.)

Burzuje pewnego małego miasteczka powzięli zamiar postawienia pomnika poległym podczas wojny żołnierzom. Wybrano komitet, w skład którego weszli: ksiądz, rzeźnik, właściciel wielkiego domu oraz spensjonowany kapitan. Po dłuższych naradach poszli panowie komitetowi do rzeźbiarza, który przywędrował do miasteczka przed kilkunastu dniami i prowadził dziwne życie pustelnika. Obcy, o którym opowiadano sobie historie awanturnicze, nie miał dobrej sławy, lecz jakoś dowiedziano się, że jest on wielkim artystą, i komitetowi, sądząc, że powinni się wyróżnić, poszli do niego.

Rzeźbiarz przyjął panów w swym ubogo umeblowanym pokoju i zapytał krótko i grzecznie, czego sobie życzą od niego. W pokoju, oprócz wielkiego, czarnego krzyża, ołoczonego drutem kolczastym, całkowicie pordzewiałym, nie więcej nie było. Artysta był cienki, dużego wzrostu mężczyzna, bez jednego oka. Sztynne, szklane oko, włożone w próżną jamę, wprowadzało w zakłopotanie panów z komitetu; nie podobało się im zwłaszcza drugie oko, które wąsko i niebezpiecznie trzepotało się z pod przymkniętych powiek.

— Panowie, chcicie, abym wam wyrzeźbił pomnik wojny? Jak sobie go wyobrażacie?

Ton tego zapytania był tak dziwaczny, że panowie wzajemnie przerażeni patrzeli jeden na drugiego.

— Macie przecież jakieś specjalne życzenia? — przerwał znów fatalne milczenie głos jednokiego.

— Sztukę samą przez się zostawiamy panu — powiedział kapitan, zebrawszy się. — Przedewszystkiem mamy mniemanie, że czyny honorowe naszej armii powinny być uwiecznione. Przedstawi pan ojczyznę możliwie symbolicznie, wkładając koronę laurową na czoło udekorowanego bohatera.

— Czy nie byłoby polecenia godnem przedstawić ojczyznę jako pełny róg, z którego pada deszcz medali i innych odznaczeń honorowych? — spytał artysta.

— To byłaby niezła myśl! — kapitan ożywiony, cieszył się uprzejmością rzeźbiarza. A tylko sztywne, szklane oko ciągle go jeszcze żenowało.

— Lecz ja przenoszę koronę laurową. Nie mogę sobie wyobrazić pomnika bez korony laurowej! — oponował właściciel domu.

— Albo mam może wyrzeźbić majestatycznego anioła, smagającego i napędzającego gałązką laurową żołnierza do ataku?!

— Jak to pan sądzisz? — niedowierzająco zapytał kapitan.

Lecz przerwał mu rzeźnik, którego słowa padły spokojnie, jak tłuszcz:

— Ja życzę sobie coś narodowego, koniecznie narodowego! Przedstaw pan w rzeźbie silnego piechurę, który rozbija kolbą czaszkę Francuza lub Anglika. Można jeszcze nadać nieprzyjacielowi kilka żydowskich rysów twarzy, a tym sposobem fraimy dwie muchy za jednym uderzeniem.

— Czy możnaby przedstawić działanie artylerji? — zapytał rzeźbiarz, zamykając żyjące oko tak, że martwe szkło nieruchomo i mrocznie patrzyło na rzeźnika. — „Mężczyznę rozkawałkowanego przez granat; kawałki granatu możnaby uporządkować a rozszarpane członki ułożyć tak, żeby to uzmysłowiało sentencję narodową.

— Tego lud nie zrozumie! — odpowiedział rzeźnik.

— Ja sądzę tę myśl za zbyt ryzykowną — powiedział łagodnym głosem ksiądz. — Można by przyjść i do konfliktu z humanitarnością. Sztuka powinna idealizować i działać ulepszająco. Nie zapominać, że nasi bohaterowie szli do walki „za Boga, cesarza i ojczyznę!“, dlatego trzymajmy się szlachetniejszej strony wojny. Ja przedstawiam sobie Chrystusa, dźwigającego jakiegoś poległego.

— ...I nakładającego mu żelazny krzyż! czy nie tak, wielbny ojcze?

— Nie myślę o znikomościach ziemskich! — poufałym głosem ciągnął ksiądz.

— Aha! — odpowiedział kapitan — jestem posiadaczem „Żelaznego Krzyża“!

— Nie rozumiesz mnie, panie kapitanie. Ja czczę „Żelazny Krzyż“, lecz krzyż Golgoty dla mnie jest więcej wart. Byłoby przecież bardzo poetycznie i niepospolicie wykazać działanie religijne w wojnie.

— Bardzo poetycznie i niepospolicie... Pan znalazł właściwy wyraz dla wojny, wielbny ojcze! — odpowiedział artysta, a słowa jego zgrzytały jak nóż po szkłe. — Szkoda, że nie można modelować grobu, z którego kiełkuje kilka pięknych i miłych kwiatów. A czy nie byłoby dobrze zrobić żołnierza, przybitego na krzyżu? Albo księdza, czytającego mszę św., opartego na karabinie? Albo granat ze znakiem gazu trującego i napis: „Bóg z nami!“

— Przestań! — przerwał mu gwałtownie ksiądz. — Ja mniemam, że powinno się przedstawić szlachetność, piękność, idealność wojny.

— Chodźcie panowie! — rzekł rzeźbiarz, a coś miękkiego i bolesnego zadrgało w jego głosie. Niedawno pracowałem nad pomnikiem dla żołnierzy i jestem gotów pokazać wam moją pracę.

Wprowadził on panów z komitetu, którzy nie wiedzieli co to wszystko znaczy, do wielkiego i

próżnego pokoju. W środku stała postać z gliny zrobiona, smutna i wielka. Na podstawie stworzonej ze strasznie rozkawałkowanych ciał ludzkich, rozbitych głów, kadłubów, goleniów i czaszek, granatów, karabinów maszynowych, masek gazowych i hełmów stalowych, siedziała olbrzymia kobieta z zapadniętą wardą i ze zmęczonemi, otworzonymi szeroko oczyma, niezdolnemi nawet do jednego popatrzenia. A ukośnie nad łonem kobiety leżał nieboszczyk zdruzgotany i ledwo podobny do człowieka. Około czoła kobiety wili się wieniec, upleciony z drutu kołczastego.

Komitetowi przypatrywali się długo na nadludzki artystyczny czyn ze wzruszeniem serca i w milczeniu; nie wiedzieli, czem się czuli.

Rzeźbiarz, który podszedł do podstawy pomnika, wyglądał na tem tle ponuro i strasznie; głowa jego ze zamkniętym zdrowym okiem i groźnie patrzące szklane oko potęgowały wspomnienie zamełtu wojny, którą on odwarzał z cierpienia i strachu.

— Zbyt gęstwinie nie... — tu zakaszła, aż się spluła, zakłopotany ksiądz.

— To nie jest godne naszego celu! — dopełnił rzeźnik i wszyscy odetchnęli nagle z ulękczaniem.

— Panowie otrzymacie pomnik ten bezpłatnie, jeżeli podarujecie pieniądze inwalidom, wdowom i sierotom! — powiedział rzeźbiarz, powoli otwierając swe żywe oko tak, że było ono skierowane groźnie i żarzaco na nich.

Komitetowi palrzyli zezowato jeden na drugiego. Nagle, odważywszy się, kapitan moralnie się oburzył:

— To jest drwienie z uczuć patriotycznych!

A ksiądz:

— To jest szydzenie z świętej wiary chrześcijańskiej!

A rzeźnik:

— To jest wyśmiewanie ideałów narodowościowych!

— A właściciel domu:

— To jest występki przeciwko humanitarności!...

— To pomnik wojny!! — zakrzyknął zło-wrogo rzeźbiarz.

Komitetowi pośpiesznie opuścili pokój a czuli się bezpiecznymi dopiero wtedy, gdy byli już daleko od domu rzeźbiarza.

Później poszli do zaciejszego kamieniarza miasta, który zrobił im pomnik, zgodnie z chrześcijańskimi, narodowościowymi, społecznymi i humanitarnymi ideałami wielkiej wojny.

Rozkoszne ustronie sołwieckie.

„Proszę Was, nie niepokójcie się o mnie. Jest tu, że tak powiem, dobra gospodarka. Moje „menu“ jest następujące: na śniadanie herbata, na obiad zupa jarzynowa z mięsem i piure z kartofli, na kolację znów mięso. Poza tem dostajemy mleko, herbatę, cukier, papierosy, aczkolwiek nie chcę się przyzwyczajać do palenia. Spacer mamy dwa razy w dzień w ogrodzie warzywnym“.

Kto przeczyta te wyrazy, gotów pomyśleć, że chodzi tu o jakiś zakład wychowawczy dla słabowitej młodzieży, w którym dbają o dobre odżywianie, się teje, a nawet, ponieważ zapewne chodzi o chłopców już pod wąsem, nie wzbraniają i papierosów. W tem mniemaniu może utwierdzić i list drugi:

„Na podwórzu, gdzie odbywamy nasz spacer, rośnie trawa i kwiaty. Wszystko jest zielone. Pogoda jest świetna, powietrze doskonałe. Jedzenie jest przy-

ządzane dobrze. Podaje się je w czystych naczyniach. Obiad i kolacja składa się z dwóch dań. Ręczę wam pod słowem honoru, że nasze utrzymanie jest dobre“.

Ze wzmiankami o doskonałym powietrzu czytelnik dosnuje sobie wniosek, iż ów wzorowy zakład, znajduje się zapewne w jakiejś miejscowości klimatycznej...

Tymczasem takie i podobnie dobrane głosy z odpowiednio dobranymi podpisami drukuje jakaś ulotka komunistyczna, wydana w języku polskim, a te piękne opisy odnoszą się do pustelni Sołowieckiej na krańcach północnej Rosji na wysepkach na morzu Białem położonej. Pustelni, którą bolszewicy zamienili w turbę, przyczem to więzienie ma reputację nastraszniejszego w Rosji.

Przypadek zrządził, że niemal równocześnie z tą ulotką bolszewicką, usiłującą fałszować prawdę i reklamującą tę mordownię, otrzymaliśmy wydawane w Pradze czeskiej w języku francuskim (aby udostępnić treść Europie) pismo rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów pod tytułem „Es-Er“.

Wystarczy przeczytać same nagłówki artykułów, podanych w tym biuletynie, aby nabrać pojęcia o tej idylli, jaką bolszewicy gotują u siebie socjalistom.

Artykuł wstępny: „Przeciw barbarzyństwu“ — mowa tu o represjach bolszewickich. Dalej idą: „Tragedja Sołowiecka“, „Głos z więzienia“, „Czeka się sroży“, „Jak się tępi socjalistów w Rosji — straszne porządki w więzieniach i obozach koncentracyjnych“, „Apel do międzynarodówki socjalistycznej na korzyść męczenników sołowieckich“.

Chyba już tych tytułów wystarczy do udowodnienia, ile potrzeba obłudy i cynizmu, ażeby przedstawić w różnych barwach więzienie, które raczej krew mrozi.

Oto jak je przedstawia wspomniany organ socjalistów-rewolucjonistów:

Jest to klasztor, składający się z kilku pustelni, wzniesionych na małych wysepkach morza Białego, które lód izoluje od całego świata przez 8 miesięcy. Noc i zimno polarne, jak i brak pomieszczenia i ciepłej odzieży, zastosowanej do takiego klimatu, czynią z życia więźniów istotną mękę. Do tego dołączają się jeszcze specjalne środki, stosowane przez komunistów wobec więzionych socjalistów.

Najstraszniejsza z tych pustelni, tak z punktu widzenia położenia jak i trybu więziennego, jest zarazem największa i najbardziej zaludniona. Mnisi, którzy, niegdyś przychodzili na te wyspy, ażeby odkupywać swoje grzechy, nazywali ją nie bez słuszności „Kalwarją“! Osoby, które tego lata zwiedziły wyspy Sołowieckie, opowiadają, iż więźniowie mają wygląd upiorów, że są wyczerpani, chorzy, odziani w brudne łachmany.

Ubiegłej zimy cierpieli na brak żywności mimo pomocy z zewnątrz. Wszyscy bez wyjątku oświadczyli, że nie mogliby przeżyć zimy następnej, jeżeliby nie uzyskało się poprawy pożywienia.

Zarząd zmusza więźniów do pracy bezmyślnej i nieprodukcyjnej i opiera się stanowczo wszelkim próbom, które czynią więźniowie, ażeby zorganizować warsztaty stolarskie, szewskie itd. To sprzeciwianie się zarządu daje pole do krwawych starć.

Tak wygląda w świetle opisu socjalistycznego pensjonatowe urządzenie rozkosznego więzienia sołowieckiego, jak je reklamuje świątek komunistyczny!

Mogą takie ulotki przemilczać plamy, szpecące bolszewję, ale trzeba na to zaiste zupełnego stopienia wstydu, ażeby najcięższe przewiny przedstawiać jako wzory świetlane!

Zwyczajne wigilijne.

„Co kraj, to obyczaj“, powiadają. W miastach, do prawda zacierają się stare zwyczaje, ustępujące miejsca zwyczajom międzynarodowym. Paryż, Wiedeń, Warszawa i Nowy Jork śpiewają te same piosenki. Ubiierają się wedle tej samej mody, tańczą i bawią się tak samo. Gdy w Nowym Jorku rozebrzmie „Jazzband“, gdy w Paryżu zaczną tańczyć „huppe“ (najnowszy taniec) nazajutrz zagra i zatańczy ci to samo Warszawa czy Wiedeń. Inaczej po staremu żyje wieś i małe miasteczko. Tam od wieków utrzymują się te same obyczaje, stroje, budownictwo, te same obrzędy i tam na ile obrzędów i zabaw występuje w prawdziwym swym świetle dusza ludu.

Może nigdzie na świecie nie obchodzi się tak uroczystością Świąt Bożego Narodzenia, jak wśród narodów słowiańskich a szczególnie na wsi polskiej i ukraińskiej, gdzie z praktykami religijnymi pomieszano różne obrzędy pogańskie.

Nie wszędzie jednak zwyczaje i obrzędy sięgają czasów przedchrześcijańskich. I tak n. p. święto Bożego Narodzenia na ziemi amerykańskiej jest nowością trwającą zaledwie trzy wieki przeniesione na tamtejszy grunt przez Holendrów, którzy założyli Nowy Jork a jako pobożni chrześcijanie wprowadzili do nowej swej ojczyzny także święta Bożego Narodzenia. Z uroczystego, wyłącznie religijnego święta uczyniło się tam w międzyczasie święto zabaw i zbytku. Drzewko oświetlane w starej Europie skromnymi świeczkami, w Ameryce jaśnieje tysiącem świateł elektrycznych i ugina się pod przepychem zbytkownych drobiazgów. Amerykanin przejął ponadto z Europy różne przesady i związał je ze świętami chrześcijańskimi. Jest n. p. zwyczaj, że jeżeli ktoś otrzyma jakiś podarunek świąteczny kończasty (n. p. nożyczki) daje za to ofiarodawcy centa, ażony radość Bożego Narodzenia się nie „rozkuła“.

W Ameryce środkowej i południowej obchodzą się święta przy udziale całkiem osobliwych obrzędów, silnie związanych z wierzeniami chrześcijańskimi. — W Meksyku trwają święta Bożego Narodzenia przez ośm dni, przyczem urządza się szopki i procesje w których biorą udział liczne grupy, przedstawiające poszczególne sceny biblijne.

W Chile taniec jest nieodłączną częścią zabaw gwiazdkowych, do których przedewszystkiem zalicza się jarmark, odbywający się w każdym najmniejszym miasteczku.

W Kolumbii już od samego rana pierwszego dnia Bożego Narodzenia jasne, słoneczne niebo rozświetlają ognistymi rakietami. Gwar, krzyk, i wesołe zabawy potęgają się coraz bardziej ku wieczorowi, młodzież w maskach, przedstawiających diabła przeciąga ulicami wypuszczać rozmaite kawały, rakiety wybuchają głośno wśród radości tłumów a muzyka wabi i do tańca zaprasza.

Zgoła inaczej obchodzi święto Narodzenia Chrystusa zimna, smutna Islandja. Brak tam tej radości, jaka pulsuje w krajach, gdzie więcej jest słońca i gdzie przyroda jest bogatsza. W pierwszy dzień wypija się tam masami kawę, a każda gospodyni uważa sobie za punkt honoru, by zastawić stół najrozmaitszym tradycyjnym pieczywem. Kto sobie może pozwolić, zjada także mięso suszone, kaszki na mleku itp. Za choinkę służy krzaczek jałowca, oświetlony kilkoma świeczkami. Natomiast zanikł tam starodawny zwyczaj zapalania w wieczór wigilijny wszystkich świateł, jakie są w domu. Dzieci islandzkie starają się podczas święta nie grzeszyć, ponieważ w Boże Narodzenie — jak mówi stare podanie — złe duchy chodzą po świecie i zabierają z sobą niegrzeczne dzieci.

W Turcji urządza się przez chrześcijan wesołe zabawy, które rozpoczynają się w wieczór wigilijny dopiero z chwilą zabyśnięcia siedmiu gwiazd. Kto przedtem próbuje skosztować oś z jada, popełnia grzech wielki. Jeżeli w wigilię gwiazdy nie świecą, jest to zły znak, zapowiadający nieszczęście. W jednym z kościołów odbywa się ciekawy obrzęd. Pobożni chrześcijanie i duchowny stają dokoła płonącego stosu, do którego każdy kolejno dorzuca kawałek drzewa, tak, że co chwila wybucha coraz nowy płomień. Zwyczaj ten jest związany z legendą, wedle której pasterze zapalili ogień w stajence, aby Dzieciątku w żłóbku było ciepło.

Nadzwyczaj uroczystości obchodzi się święto Bożego Narodzenia w Rzymie, gdzie sam papież w otoczeniu kardynałów celebrowe mszę w kaplicy sykstyńskiej. Ale lud święci ten dzień bawiąc się swobodnie i wesoło. Choinek nie znają ani we Włoszech, ani w Hiszpanji ani w południowej Ameryce, natomiast zadowolają się tam szopkami, tak rozpowszechnionymi jak u nas, zwłaszcza po wsiach. Gdziekolwiek szopki robią olbrzymie i figury świętych są nieraz naturalnej wielkości człowieka.

W Szwecji urządza się jak u nas wilę z postem, ale w oba dni świąt stoły muszą być zastawione szynką i mięsem wieprzowem.

Chłopi w wieczór wigilijny używają kąpieli parowej i to bardzo gorącej, aby i „dobre duchy“ mogły brać w niej udział...

Drugiego dnia świąt młodzież przebiera się w „strachy“. Chłopcy przywdziewają stroje dziewczęce, dziewczęta zamieniają się w chłopców i płatają razem rozmaite figle. W dzień św. Szczepana (drugi dzień świąt) urządza się jazdę na koniach, zwyczaj znany zresztą i w innych krajach Europy. Jeźdźcy konni wyśpiewują stare piosenki a za to wynagradza ich ludność rozmaitymi darami.

Z czasem po wiekach zatrać się może i wśród ludu rozmaite obyczaje a ślady po nich pozostaną chyba w pisanych księgach i pieśniach, które nie giną.

Sekciarze.

„Człowiek, jak umie,
Pana oBga chwali“.

W Anglii, Stanach Zjednoczonych, na półwyspie skandynawskiej panuje najzupełniejsza swoboda wyznań. Nietylko swoboda wyznań, ale i swoboda tworzenia nowych religii, czy też nowych sekt „reformacyjnych“ dawną religję.

Gdzieś oto na drodze, ulicy, w ogrodzie, zbiera się grupka ludzi, na podwyższeniu staje jakiś mniel lub więcej natchniony kaznodzieja i zaczyna mówić. Jeżeli argumenty jego trafiają do przekonania słuchaczy, od razu zyskuje wiernych i powstaje sekta, bardzo mało zresztą różniąca się od innej sekty, którą tylko co zorganizował przekonującym słowem inny kaznodzieja, czasem w spótnicy, konkurent tamtego. Nierzadko tacy kaznodzieje stają na jednym placu, oddzielani od siebie garstką słuchaczy. Słuchacz słucha jednego i drugiego niemal równocześnie i wybiera.

Najbardziej rozwielmożniły się sekty w Stanach Zjednoczonych i to po wojnie, a członkowie tych sekt schodzą w swych obrzędach do — barbarzyńskich praktyk.

Jedną z najciekawszych sekt — jak pisze w „Strand Magazine“ Shaw Desmond — są tak zwani przez siebie „Apostołowie“, których główną siedzibą jest Portland w Oregonie. Mianują się oni bezpośrednimi następcami apostołów i przypisują sobie moc czynienia cudów. Podczas wspólnych zebrań, członkowie sekty, do której należą zarówno wypuszczeni na

wolność przestępcy, jak wysocy urzędnicy, po ludzkich wyciach i konwulsyjnych wykrzywianiach ciała, wpadają w ekstazę, podczas której mówią rzekomo zupełnie biegle obcymi sobie językami.

Apostołowie celem rozpowszechnienia swej „wiarę, posługują się najnowszymi zdobyczami techniki, mają własny aeroplan, który rozrzuca dziesiątki tysięcy kartek ulotnych, a także rozporządzają całą flotyllą małych parowców dla propagandy w portach amerykańskich.

Członkowie innej znowu sekty, bardzo rozpowszechnionej w Ameryce Północnej, sądzą, że najlepszym sposobem zapewnienia sobie wglądu w sprawę „tamtego świata“, jest tarzanie się po podłodze, zupełnie, jako to czynią dzieci, gdy tarzają się po trawie. Takie niezwykle ćwiczenie wprowadza ich w trans, podczas którego „widzą niebo“ i utrzymują objawienie tajemnic, zakrytych dla innych ludzi.

W sekciarstwie zamiera nawet tak silna nienawiść rasowa białych i murzynów i wspólna „wiera“ łączy obie rasy, które już wspólnie jak to bywa u „wybrańców ducha“ oddają się swym dziwacznym interpelacją Pisma Świętego i chóralnym śpiewom, pełnym straszliwych gróźb dla „niewiernych“.

Członkowie „czcicieli słońca“, z główną siedzibą w Chikago, godzinami całymi stoją nago wpatrzeni w słońce, wedle nich źródło życia i zdrowia, — no i — objawienia.

„Czciciele szatana“ znani w Europie już w wiekach średnich, oraz „duchoborcy“ udają się w dalekie pielgrzymki zupełnie nadzy, tłómaczą się, że pierwsi ludzie Adam i Ewa także byli nadzy. „Reguła“ zabrania im używania do pracy zwierząt domowych, wyręczają się więc... kobietami, zaprzęgając je do pług!

Sekta murzyńska „Obeah“ odbywa praktyki czarodziejskie przy pomocy kapłana lub kapłanki. Kapłan swoimi „czarami“ zapewnia członkowi powodzenie miłości lub zdrowia za odpowiednią ofiarę.

Desmond opisuje następujący wypadek, którego sam był świadkiem, a którego bynajmniej nie stara się wyjaśnić. Pewien inżynier obraził swego podwładnego murzyna, który postanowił się zemścić i wyjednał u kapłana swej sekty przekleństwo na swego przeciwnika. Od tej chwili inżynier zaniemógł i żadne środki, stosowane przez lekarzy, nie umiały określić rodzaju choroby, nie pomagały. Gdy chory już był bliski śmierci, zjawił się u niego jakiś murzyn, który miał dla niego jakiś dawny dług wdzięczności, i radził, by zawołać kapłana „Voodoo“ i skłonić go za odpowiednią ofiarą do zdjęcia przekleństwa. To też uczyniono i od owej chwili inżynier zaczął powoli przychodzić do zdrowia.

To ostatnie zapewnienie Desmond'a, jeżeli ktoś chce, może między bajki włożyć.

Trzeba nam wiedzy, co więzy kruszy
Ciemnoty, fałszu i zabobonu;
Trzeba nam światła, co w naszej duszy
Groźną wykrzesze iskrę piorunu!...
Co strzaska wreszcie kajdan okowy,
Rozpali pożar walk o ład nowy!

Trzeba nam wiary, żeśmy kowale,
Własnego szczęścia, własnej przyszłości;
Trzeba nam twardej, tak jak hart stali
Woli — co rzeźbi w nieskończoności
Dłutem przeznaczeń wielkie zadania,
Przygotowując Dzień Zmartwychwstania!

Niewolnictwo kobiet w Japonii

Kobieta japońska z „tłumu“ traktowana jest jako przedmiot wyzysku. Jeśli ładna i utalentowana, zostaje gejszą, jeśli brzydka i nie okazuje zdolności na tancerkę lub śpiewaczkę, najmuje się na robotnicę w fabryce lub w kopalni, wreszcie w przedsiębiorstwach domowych. Statystyka ostatnia wykazała, że co siedemnasta kobieta w Japonii jest gejszą lub prostytutką.

Liczba robotnic w tym dziwnym kraju wynosi około 1,300.000. — Z tego przeszło 100 tys. kobiet pracuje w kopalniach. W kopalniach węgla kobiety pracują razem z mężczyznami w wilgotnej gorącej temperaturze, dochodzącej do 80 stopni C. Prowadzą nadmierne ciężary i odcychają szkodliwym pyłem, który wżera się w płuca.

W wielu fabrykach zajęte są wyłącznie kobiety. Na jeden i pół miliona rozmaitych przedsiębiorstw fabrycznych, liczba zajętego tam personelu robotniczego przedstawia się tak, że na 40 proc. robotników przypada 60 proc. robotnic.

Przeszło 80 procent robotnic, zajętych w przedsiębiorstwach wyrobów tekstylnych, sypia w salach wspólnych. Na osobę przypada nie więcej, jak dwa metry przestrzeni. Zawołki są minimalne, a czas trwania pracy nie do uwierzenia długi. Znaczna część tych robotnic przybyła ze wsi. Wynajmują się one na urzy lata, i przez ten okres są już tylko niewolnicami.

87 procent robotnic znajduje się w wieku od 16 do lat 20.

W rolnictwie pracuje 46 procent kobiet. I tutaj wynajmują się robotnice na szereg lat.

Wiele kobiet przychodzi do roboty z niemowlęciem, umieszczonem na piecach w „kobi“. Zarobki są tak niskie, że 60 proc. robotnic nie może wyżyć ze swej pracy i ogląda się jeszcze na pomoc męża zarobnika.

Rząd japoński obiecuje przeprowadzić reformę tych stosunków, oświadcza przytem, że będzie na to potrzeba co najmniej okresu trzyletniego. Zniesioną ma być praca nocna kobiet w fabrykach. — Do kopalń kobiet przyjmować się nie będzie. W kwestjach robotniczych ustanowione zostaną specjalne ustawy, które wezmą w obronę proletariatu robotniczego.

Rozmaitości

Mężczyzna, który posiadał 6 żon i 23 narzeczonech.

Juljusz Grunwald, rodowity wiedeńczyk, na kilka lat przed wybuchem wojny, wynalazł sobie nietławy proceder. Podbijał on ogromnie łatwo serca dziewczęce w roli narzeczonego aż 25 razy udało mu się owinąć drobniemi oszczędnościami łatwomimnych dziewcząt. Jeżeli panna miała większy zasób gotówki dokonywanej w banku, były rysownik litograficzny fałszował swoje dowody kawalerskie i brał ślub z upatrzoną ofiarą. Po roztrwonieniu posagu przenosił się w inne strony i zawierał coraz inne stosunki i znajomości. W końcu miara się przebrała. W Tyrolu został wysłyszony przez dwie żony i zaskarżony do sądu. W Wiedniu, dokąd zbiegł, policja wytropiła go i zamknęła w więzieniu.

Na wezwanie sądu stawily się ogółem 42 kobiety zawiedzione, w tem 6 żon i 28 narzeczonech. — Proces wykaże, czy jego praktyka nie była obszerniejszą, niż to ujawniło śledztwo wstępne.

Odpowiedzialny redaktor Bogusław Nowak — M. Dąbrówka,
Drukiem „Gazety Robotniczej“ w Katowicach.